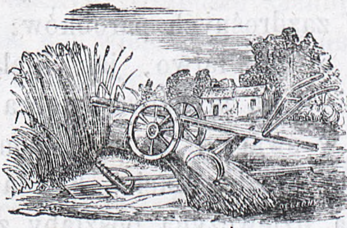
Tom I. 21. Maja 1870. Nr. 15.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Podróż Macieja Kołowrotka.

Czytelnikom „Dzwonka“ na pożytek i zabawę opowiedział

Bartek Szkolarz.

Na ośmiu morgach dość urodzajnej ziemi żył w Jagódce, wsi małej ale bardzo zamożnej, włościanin Maciej Kołowrotek. Maciej był jeszcze bardzo młody a do tego taki urodziwy, że choćbyś kilkanaście wiosek dokoła ze świecą obszedł, nie znalazłbyś nigdzie takiego tęgiego parobczaka. A kiedy w niedzielę szedł do cerkwi ubrany w sutą białą sukmanę z czerwonemi tasiemkami i gładkie palone buty, patrzali na niego wszyscy sąsiedzi z drzwi i okien. Parobczaki połykali ślinkę z zazdrości, dziewczęta ukradkiem strzelały na niego oczkami, a starsze kobiety i inni gospodarze uśmiechali się do Macieja i żałowali mocno jego matki i ojca, że tak wcześnie pomarli i nie napatrzyli się dość na swego dorodnego syna. Maciej za to szedł sobie tak dumnie, jakby król jaki i patrzał tożsamo na ustrojone dziewczęta, bo mu się już trochę sprzykrzyło jego samotne życie i chciał dla siebie znaleść ładną a może i bogatą żonę. Ale w tym wyborze był Maciej bardzo wybredny i postanowił ożenić się chyba tylko z najładniejszą w całej wsi dziewczyną. To też nie spieszył się tak bardzo.

Przytem był pewny, że go każda dziewczyna za męża przyjmie i zawsze mówił do zazdrośnych parobków:

— Dla mnie to tak łatwo, jak kieliszek wódki wypić. Jeżeli tylko trafi się jaka urodziwa i dobra dziewka, to poszlę dwóch gospodarzy w swaty i już mam żonę.

I nie mylił się wcale Maciej. Każda matka dałaby mu swą córkę, a każda dziewczyna poszłaby za niego z zawiązanemi oczyma. Wszyscy go bowiem bardzo lubili i poważali.

Maciej zasłużył sobie na ten szacunek, bo był pracowity i trzeźwy. Zawsze zasiał swe pole najprędzej, zebrał zboże w czas i bardzo prędko; a do karczmy wstąpił chyba tylko z musu, by dotrzymać kompanii, na kieliszek wódki. Jednego mu tylko nie dostawało, to jest nauki. Rodzice Macieja wyuczyli starszego swego syna Jana na księdza i chcieli także młodszego do szkoły posyłać, ale nadaremnie, Maciej nie chciał się uczyć i mówił zawsze:

— Ot! Co mi tam nauka! Byle tylko kieszeń i stodoła były pełne. Co mi tam teraz z pełnej głowy, skoro tem się nie nakarmię ani nie odzieję.

Rodzice widząc, że tego uporu przełamać nie potrafią, przestali go namawiać. Maciej za to robił, co mu się podobało. Gdy inni ludzie chodzili w niedzielę do księdza, który im ładne książki czytał, to Maciej poszedł sobie do miasta lub na zabawę i śmiał się ciągle z nauki. Kiedy rodzice pomarli, Maciej został sam na gospodarstwie i o niczem już więciej nie myślał.

Ale to naśmiewanie się z nauki nie wyszło Maciejowi na dobre. Prawda, że należy pracować na majątek i dobytek; prawda, że praca około roli zasługuje zawsze na pochwałę; ale nie należy przez to pogardzać nauką, bo człowiekowi dał Pan Bóg rozum na to, by się czegoś nauczył i coś poznał. A zresztą nauka jest bardzo potrzebną, daleko potrzebniejszą niż pieniądze. Bez nauki niepodobna i nosa wyściubić w świat bo nigdzie sobie rady dać nie potrafisz, choćbyś miał pełne kieszenie grosiwa. A potem nauka podnosi ludzi wysoko a ubogich stawia wyżej nad największych bogaczów. Z ludzi głupich a bogatych śmieją się wszędzie, a ludzi biednych,

którzy się czegoś nauczyli, wszędzie szanują i poważają. Otóż widzicie, że majątek nie wiele pomoże, jeżeli, jak to mówią, głowa ciemna, jak tabaka w rogu.

Poznał późniéj i Maciej, że nie należy tylko samą kieszeń lecz także i głowę bogacić. Ale zanim się o tem przekonał, dużo musiał połknąć wstydu i biedy.

Miał Maciej jeszcze jednego brata Jana, a ten był księdzem w Kalińcu. Janowi powodziło się bardzo dobrze, a ludzie szanowali go, bo był bardzo rozumnym i dobrym kapłanem.

Dużo lat minęło już od tego czasu, gdy Jan po raz ostatni widział się z swym bratem Teraz gdy się już wyświęcił na księdza i dostał dobrą parafję pragnął koniecznie zobaczyć się z swym bratem. Ale obowiązki kapłana wiązały go ze wsią i ludźmi, których był pasterzem. Napisał tedy list do Macieja z prośbą, by przyjechał do niego, gdy już ukończy robotę w polu W liście tym posłał ksiądz Jan Maciejowi pieniądze na drogę.

Gdy list ten przyniesiono do wsi, zdziwił się mocno Maciej, bo na razie nie mógł się nawet domyslić, ktoby do niego mógł list z pieniądzmi posłać. Łatwo o tem można się było dowiedzieć, bo potrzeba było tylko list otworzyć i przeczytać. Ale dla Macieja była to rzecz bardzo trudna a nawet zupełnie niepodobna, bo jak wiecie już, nie umiał ani czytać ani pisać. Trzymał tedy list w rękach i patrzał na pismo, jakby na dziwo jakie. A trapiła go w téj chwili tak wielka ciekawość, że odstąpiłby był połowę pieniędzy znalezionych w liście za to, gdyby go kto zaraz czytać i pisać nauczył.

— Cóż tu teraz z tem zrobić? pomyślał Maciej i zafrasował się mocno.

— Wprawdzie sąsiad mój Antek, rzekł do siebie, umie czytać i pisać, ale gdybym się do niego udał, śmiałby się bardzo ze mnie, żem się niczego nie nauczył i niczego nie umiem.

— Cóż tu teraz robić? — zapytał z wielkim frasunkiem. Do Antka iść nie chciał, bo ten śmiałby się z niego a taki wstyd nie łatwo zniešćby potrafił dumny Maciej. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że w sąsiedniéj wsi mieszka

pisarz gromadzki, a ten mógłby list odczytać. Co najprędzej pobiegł tedy do pisarza, a ciekawość tak mocno go niepokoiła, że biegł prawie przez całą drogę. Gdy przybiegł do wsi, poszedł prosto do pisarza i oddał mu list.

— A cóż to nie umiecie czytać, panie gospodarzu? — zapytał ów pisarz z uśmiechem.

Macieja, który dotąd śmiał się zawsze z każdej nauki, uśmiech ten mocno zakłopotał. Czuł, że mu krew do głowy uderza a na policzki występuje piekący rumieniec wstydu.

— Umię ja wprawdzie czytać, ale tak to niewyraźnie pisano, że trudno być z tego rozumnym, rzekł Maciej, ratując się kłamstwem z tej biedy.

— Ależ pismo to takie wyraźne, jakby drukowane odpowiedział pisarz.

Maciej nie wiedział już teraz co ma powiedzieć. Tak mocno uląkł się wstydu, że postanowił znowu skłamać.

— To prawda, że wyraźnie pisano, rzekł niepewnym głosem, ale ja właśnie nie umiem czytać wyraźnego pisma, bo mój nauczyciel pisał niewyraźnie. Gdyby list ten był pomazany trochę, tobym może i przeczytał.

Maciej nie wiedział jak wielkiem i niedorzecznem jest to kłamstwo. Niejeden bowiem człowiek, co nieźle czyta, nie da sobie może rady z niewyraźnem pismem, ale jeżeli kto już tylko cokolwiek umie czytać i pisać, to z łatwością odczyta wyraźne i duże pismo.

Pisarz nie chciał go do większego kłamstwa pobudzać, przestał z nim rozmawiać i odczytał mu list jego brata.

Z tego listu dowiedział się Maciej, że brat zaprasza go do siebie i że przesyła mu pieniądze na drogę. Zarazem objaśnił w tym liście ksiądz Jan swemu bratu, jak się może do niego najprędzej i najłatwiej dostać. Z Jagódki było cztery mile do Szańca, a ztamtąd koleją żelazną w jednej godzinie dostać się mógł Maciej do brata, do Kalińca.

Gdy Maciej usłyszał, że ma jechać koleją żelazną zrobił minę zakłopotaną, bo po raz pierwszy usłyszał to słowo. Spostrzegł to dobrze pisarz, bo ozwał się natychmiast do niego:

— Koleją żelazną musieliście już jeździć? A zresztą gdyby i nie tak, to musieliście coś o tem słyszeć lub czytać, skoro jak mówicie, czytać umiecie.

Te słowa wpadły do głowy Macieja, jak klin twardy. W pierwszej chwili nie wiedział, czy przyznać się, że o kolei żelaznej nic jeszcze nie słyszał i prosić pisarza, by mu coś o tem powiedział, czy też skłamać znowu, by się ocalić od wstydu. Ale Maciej obawiał się tak mocno wstydu, że postanowił ratować się znowu kłamstwem.

— At, co też pan mówi! zawołał. Ile to razy, dokąd i jak daleko jeździłem już koleją. Raz nawet zajechałem w rów, wywróciłem się w kałużę i połamałem wóz cały.

Pisarz zaczął się śmiać z tego i rzekł do Macieja:

— Ależ to być nie może. Z tego widzę, żeście koleją jeszcze nigdy nie jeździli i że nawet o tem zgoła nic nie wiecie.

— Co też pan mówi! rzekł Maciej i poczerwieniał mocno jak burak. Dlaczegóż nie mogłem się wywrócić. Konie bestyje były płochliwe i zapędziły do rowu. A wóz chociaż żelazny, czy tam kolej żelazna, jak to pan nazywasz, połamał się do szczętu.

Pisarz widząc, że Maciej coraz głębiej brnie w kłamstwie począł mu tłumaczyć, że to wszystko, co powiedział, jest nieprawdą.

— Wszakże musicie gospodarzu wiedzieć — rzekł do Macieja — że kolei żelaznej nie ciągną konie tylko ją para porusza.

— Para? zawołał Maciej i ze zdziwienia aż o krok w tył się cofnął.

— A tak jest, para — ciągnął dalej pisarz. Wszakże nieraz może widzieliście w kuchni, jak wielką jest siła pary. Jeżeli postawicie koło ognia garnek z wodą i położycie na to pokrywkę, to skoro tylko woda zakipi, para dobywa się z garnka z taką siłą, że nawet nieraz pokrywkę aż na ziemię zrzuci.

— Mocny Boże! — zawołał Maciej.

— Otóż jeżeli z kwarty wody — mówił dalej pisarz para jest tak silną, że podniesie blaszaną nakrywkę, to nic w tem dziwnego, że większa ilość pary jest w stanie poruszać kilka, kilkanaście, ba nawet kilkadziesiąt wozów ukutych z żelaza. Jednak taka maszyna z parą (nazywa się zaś ta maszyna lokomotywa) ciągnie za sobą taki długi ogon żelaznych wozów, i to tak szybko, że ujedzie na godzinę kilkanaście mil, jak się to naprzykład w Ameryce dzieje. U nas zaś na godzinę ujechać można koleją tylko cztery mile, ale za to wygodnie i całkiem bezpiecznie.

— A jeżeli trafi się kamień lub jaki wybój w drodze? — zapytał Maciej, którego wesołość i łagodność pisarza trochę ośmieliła.

— Kolej żelazna nie idzie po zwykłej drodze — rzekł pisarz. Na to buduje się osobna droga, gładka i równa jak szkło. Na drodze tej są szyny, jakby grube druty z żelaza. Koła wozów (wagonów) są wydrążone tak, że wpadają na te szyny jakby czapka na głowę. I dlatego to kolej pędzi tak szybko i gładko. A jeżeliby, nie daj Boże, uszkodziła się ta szyna, nad którą zawsze osobni strażnicy przy kolei czuwają, to nastąpić może okropne nieszczęście. Maszyna bowiem nie da się w miejscu powstrzymać jak konie. Mimo przeszkód szarpie i rwie za sobą wagony. To też nieraz już zdarzyło się, że i cały pociąg na drobne kawałki pogruchotał się, a wszyscy ludzie, co się wtedy tam znajdowali, śmierć lub ciężkie rany poniesli.

Rozmowa ta zajęła z początku Macieja i cieszył się, że się dowie o rzeczy, o której dotychczas nigdy nie słyszał. Ale dobrze to mówi przysłowie: czego się Jaś nie nauczył, tego się już w późniejszych latach Jan nie nauczy. To też Maciej nagle zawstydził się prawie, że chciał się czegoś nauczyć. Sprzykrzyło mu się słuchać tego opowiadania o kolejach, a widząc, że pisarz mówił długo i tak obszernie, by go każdy zrozumiał, począł się bardzo niecierpliwić i myślał nad tem, jakby się z tego wykpić.

Na nieszczęście z pobliskiej karczmy dobiegł wsród tego opowiadania wesoły głos muzyki wiejskiej. Maciejowi zrobiło

się jakoś tęskno w duszy, opowiadanie pisarza wydało mu się tak nudnem, że rzekł do niego:

— Miło to wprawdzie słuchać o takich dziwnych i pięknych rzeczach, ale bardzo mi spieszno, łaskawy panie, więc muszę odejść.

— Szkoda, rzekł pisarz. Miałbym wam jeszcze wiele do opowiadania panie gospodarzu. Ale jeżeli wam tak spieszno, to opowiem wam to wszystko chyba w innym czasie, jeżeli do mnie przyjść zechcecie.

Maciej pokłonił się pisarzowi, podziękował za naukę i przyrzekł, że niezadługo przyjdzie, a tymczasem pomyślał w duchu, gdy już był za drzwiami:

— Zobaczysz ty mnie tu kiedy, jak białego kruka.

C. d. n.

Jan Sobieski, Król polski.

Panował od roku 1673 do 1696.

Czytaliście już nieraz w dawnych rocznikach Dzwonka powieści o królu Janie Sobieskim, nazywanym pospolicie Janem trzecim. Nie chcielibyśmy tu powtarzać tego samego, co wam jest znane i dlatego podajemy wam tylko wizerunek Jana Sobieskiego i prześliczny wierszyk, napisany przez sławnego naszego poetę, Juliana Ursyna Niemcewicza.

Trapił bezbronną Polskę Turczyn dziki,
Płonęły miasta pożarem i dymem,
Kiedy Sobieski z nielicznemi szyki [1])
Zniósł bisumańskie hufce [2]) pod Chocinem.

Jeszcze nie otarł szabli krwią oblanej,
Aż już nieszczęsny Michał [3]) żyć przestaje:
Sobieski chlubny z tak świetnej wygranej
Z zwycięskiem wojskiem w polu obrad staje.

Wielu się książąt o tron ubiegało
Świetnych potęgą i licznym orszakiem:
Ci rodem — Jan nasz jaśniał tylko chwałą,
Umiał zwyciężać, był naszym rodakiem.

---

[1]) Wojskiem.
[2]) Bisurmańskie hufce, tyle co tureckie wojsko.
[3]) Michał Korybut Wiśniowiecki, król polski, poprzednik Jana trzeciego.

Już z wodza [1]) królem; rządząc dwa narody
Szkodliwe błędy zamyśla poprawić,
Lecz gdy w tem znalazł niezłomne przeszkody
Zostało tylko orężem się wsławić.

Kara Mustafa [2]) tłum Turków zawzięty
Groźnie przybliżał ku wiedeńskim szańcom;
Uciekł Leopold [3]) bojaźnią przejęty
Stolicę na łup wydając pogańcom.



Jan Sobieski, Król polski.

Tu poseł jego, widząc króla Jana:
„Ratuj“ — zawołał — „i Wiedeń i państwo“ [4])
To mówiąc z płaczem upadł na kolana,
A Legat [5]) dodał: „ratuj chrześcijaństwo“.

---

[1]) Z wodza: Sobieski był wtenczas hetmanem, t. j. nawyższym dowódcą wojska polskiego.
[2]) Kara Mustafa, tak się nazywał dowódzca wojsk tureckich, który z 300,000 Turków oblęgał Wiedeń.
[3]) Leopold, Cesarz austryjacki.
[4]) Legat Na dwory mocarzy katolickich wysyłał Ojciec święty posłów, którzy się legatami zwali

Bohater tknięty głosem potrwożonych
Sam spiesznie wiedzie swe hufce dobrane;
Już na Kalbergu w oczach oblężonych
Widać proporców lasy nieprzejrzane.

Jak orzeł, kiedy w dole zoczy zwierza,
Lotnym się szybem z pod obłoków ciska:
Z tym pędem wojsko Polaków uderza
I szablą pośród nieprzyjaciół błyska.

Rozprasza tłumy rycerstwo skrzydlate [1])
I Mahometa chorągiew wydziera,
Zdobywa obóz i łupy bogate,
A Wiedeń bramy zwycięzcom otwiera.

Wjeżdża Jan trzeci z swoimi hetmany
W pośród radosnych pospólstwa okrzyków,
Gdzie się pokazał, wszędy głos słyszany:
„O to nasz zbawca, pierwszy z wojowników“.

Niechętnie Cesarz dobroczyńcę wita,
W licznym orszaku jadą z nim dworacy,
Szata ich złotem i perłami szyta; —
Przy królu zbrojno na koniach Polacy

Odmienne były monarchów postacie;
Chciał cesarz mówić, lecz gdy słów nie stało,
Rzekł mu król polski: Rad jestem mój bracie,
Żem ci uczynił tę przysługę małą.

Król, co tak dzielnie postąpił w tej sprawie,
Nie znalazł później wdzięczności zapłaty,
W każdym przymierzu i w każdej wyprawie
Nie widział tylko zawody i straty.

Wśród trosków wolnej chcąc używać doby,
Gdzie Wisła raz się okaże znów chowa,
Zgromadza głazy i świetne ozdoby
I wznosi pyszne gmachy Willanowa.

To było jego najmilsze ustronie —
Tam słodząc troski zbyt przykrej niedoli,

[1]) Rycerstwo skrzydlate, husarze polscy, mieli oni skrzydła z piór orlich przypięte u ramion.

Z swym Jabłonowskim lub w uczonych gronie
Chodził pod cieniem odwiecznych topoli.

Tam umarł, a jak słońce u zachodu
Jaśniejszem ziemię oświeca promieniem,
Tak i on dzielniej wzniósł sławę narodu,
Nim Polska śmierci okryła się cieniem.

Opowieści zdawnych czasów

— Piast —

Piękny to i wielki i szeroki ten nasz kraj, ta nasza Polska; i nogi byś schodził i życieby ci minęło, a jeszczebyś jej całej nie poznał, jeszczebyś się dość nie nadziwił jej krasie i nie zobaczył jej bogactw wszelakich, jakiemi ją Bóg udarował. Przypatrz się jakiemubądź kawałcowi tej naszej ziemicy, spoglądnij naprzykład na okolicę nadwiślańską. Po obu stronach rzeki Wisły gęsto osiadły wioski jak kopy po bogatem żniwie; z jednej strony chaty tulą się do stromych wzgórzy, z drugiej równia jak po stole. I tu i tam jednaka mowa, jednaka religia, jednaka wiara, jednakowe obyczaje i ubiór nawet jednakowy, a przecież nie wolno jednakowo gospodarzyć, nie wolno się rozmówić bratu z bratem, ojcu z synem, nie wolno nawet do świętego miejsca zajrzeć na drugą stronę, chyba za paszportem — bo tak chce, tak nakazuje Moskal. A zkąd ma prawo do tego? Oj długoby o tem mówić!... a choć to już sto lat blizko mija, jak nas tak na kawałki pocięto, choć Moskal ciągle gnębi, ciemięży i prześladuje toć przecie rzadko który człowiek szczerze pomyśli o tem: a zkąd ma prawo do tego? A toć każdy z nas powinien we dnie i w nocy, kiedy sobie tylko wspomni, kiedy tylko spojrzy na ten kraj, szczerze pomyśleć: a skąd ma Moskal prawo do tego? Jużci nie od Boga — bo to jedna wiara, jedna mowa, jedna ziemia, jeden obyczaj, jedna dawniej dola, jeden naród.

Ale dzięki Bogu i między gospodarzami zaczyna już świtać, już wielu bardzo umie czytać i pisać, już wiedzą, że na biedę jest ratunek, wiedzą, że jeden nic nie pomoże,

ale wszyscy razem połączeni wszystkiego dokonać mogą; wiedzą, że krzywda bratu wyrządzona wszystkich zarówno boli. Pojmuje to osobliwie lud nadwiślański i garnie się do nauki i czyta ochotnie książki i słucha dobrej rady i chętnie wspomaga potrzebnych, bo wie: co innym dzisiaj, to jemu jutro stać się może A przykład idzie z góry, od najstarszych i najzamożniejszych. Oni to uważają za niehonor, jeżeli dziecko ich bez książki idzie do kościoła, jeśli nie potrafi listu napisać, jeśli nie wie, jakie ma obowiązki względem Boga i współbraci. Między wszystkimi znów odznacza się Wojciech Zawiślak. Oddawna osiadł on w małej wiosce nad Wisłą, zakupił grunt i wybudował chatę, a choć to już czterdzieści lat dochodzi, nikt dotąd nie wie, zkąd przybył i czem był pierwej. Pracowity, gospodarny, uczciwy, nie skąpi nigdy grosza dla biednych, wspomaga siąsiadów w nieszczęściu i potrzebie. Nie żąda nigdy za żadną przysługę zapłaty, ale rzetelności, a kto raz tylko nie odda mu należytości w oznaczonym terminie, może być pewnym, że już więcej do Wojciecha nie ma po co przychodzić w potrzebie. Umie doskonale czytać i pisać, sprowadza książki i w wolnych od pracy godzinach siada do stolika i albo głośno dla całej zebranej rodziny i sąsiadów, albo, jeśli nie ma nikogo, sam dla siebie czyta rozmaite ciekawe powieści i opisy. Od pierwszego roku, kiedy zamieszkał w gminie i poznajomił się z sąsiadami, namawiał ich, ażeby u siebie założyli szkołę. Z początku szło to bardzo trudno; gospodarze nie chcieli nawet słyszeć o szkole; mówili, że dzieci nie powinny być mądrzejsze od rodziców, bo mogłyby zhardzieć i nie słuchać; powiadali że się im dzięki Bogu, dobrze powodzi, choć nic nie umieją, że nauka tylko dla panów potrzebna; pletli i wygadywali niestworzone rzeczy i głupstwa, jakie i teraz jeszcze dość często pomiędzy ludem usłyszeć można. Wojciecha nazywali mądralą, przybłędą, co to nie wiedzieć zkąd przyszedł, ażeby ich rozumu uczyć, po cichu nawet obmawiali go, że nieuczciwym sposobem dorobił się majątku, że go do gminy nie należało przyjmować; ale otwarcie nie śmiał mu tego nikt powiedzieć, bo wszyscy znali jego uczciwość, rzetelność i pobożność. Powoli namowy

Wojciecha, zacnego księdza proboszcza i dworu, poczęły skutkować. Niejeden, co to już wiele biedy doznał przez to że nic nie umiał, pokiwał głową i mówił: ot dobrzeby to było nauczyć się czegoś; inni, co to widzieli i słyszeli jak wiele z książki nawet o gospodarstwie nauczyć się można, z zazdrością spoglądali na piękny ogród i urodzajną rolę Wojciecha i także życzyli sobie, aby i u siebie coś podobnego zaprowadzić.

Nareszcie w roku 1850 stanęła szkółka. Jakaż była radość Wojciecha, gdy ks. proboszcz poświęcił szkółkę, a potem w przemowie do ludu wypowiedział, że to najwięcej staraniom Wojciecha zawdzięczyć mają. To też sława jego i powaga coraz więcej wzrastała; obierano go zawsze wójtem, a teraz należy nawet do wydziału rady powiatowej. Chata jego w środku prawie wioski położona, czyściutka, wybielona, obszerna, wygląda jak dworek jaki; zielone drzewa owocowe otaczają ją do koła i bardzo mile ją zdobią. Co niedziela schodzą się wszyscy prawie gospodarze wieczorem na pogadankę — a Wojciech to podaje mądre rady, to przyrzeka jakąś zapomogę, to wreszcie, kiedy się już nieco przyciszy, kiedy wszyscy się nagadali do woli, wyciąga jakąś ciekawą książkę i czyta lub opowiada z pamięci. Gospodarze przysuwają się bliżej i słuchają uważnie.

Według zwyczaju zgromadzili się w drugie święto wielkanocne gospodarze na pogadankę. Chata była umieciona czyściutko, Wojciech i żona i córeczka przystrojeni świątecznie. Pogadanka szła żwawo, aż w końcu Bartłomiej Powała, największy niegdyś przeciwnik szkoły, odezwał się do Wojciecha w te słowa:

Pojmuję ci ja teraz, że nauka czytania i pisania każdemu człowiekowi koniecznie jest potrzebna. Wy Wojciechu przekonaliście i najzaciętszych przeciwników. Boć to u nas teraz aż miło popatrzyć. Do kościoła sunie każda dziewczyna i parobczak z książką pod pachą, a wstyd tego, kto czytać nie umie. Wychodzi to na chwałę Pana Boga i pożytek ludziom; — ale nie może mi się się pomieścić w głowie, na co się to zdało wiedzieć, co się tam działo w dawnych czasach; na co czytać

historye rozmaite o królach i obyczajach dawnych, kied z tego nic już człowiekowi nie przyjdzie.

Wojciech uśmiechnął się nieznacznie, poprawił się na stołku i począł prawić piękne opowieści o rozmaitych narodach, o Piaście rolniku i jego synach, co i my wam na przyszły raz opowiemy.

Nauka w las nie poszła.

We wsi Siekierki wielkie zacny był proboszcz, a nazywał się ks. Ignacy Kubalak. Kochał chłopków i chłopskie dzieci, i bardzo o ich dbał dobro. Dziś już nie żyje, a w młodym jeszcze wieku zeszedł z tego świata. Poświęcając się gorliwie w czasie cholery zapadłym na tę straszną chorobę, sam nakoniec zachorował, i po kilku już godzinach Bogu ducha oddał. Cześć jego pamięci, a wieczny spokój jego duszy!

Chodził on codziennie do szkółki, przysłuchiwał się co tam nauczyciel dziatwie prawił, i sam ją słowem Bożem pouczał. Potem niekiedy pod wieczór brał chłopięta z sobą na przechadzkę w pole, do lasu. Chłopcy gonić się musieli, skakać, zręczne harce wyprawiać — co to giminastyką zowią — a przytem zawsze jeszcze pouczał ich czego. Mówił im o niebie i ziemi, o słońcu, księżycu i gwiazdach, zkąd się biorą grzmoty i pioruny — i co bywa przyczyną zaćmienia słońca lub księżyca.

W maju zwykle urządzał majówkę do lasu. Cała gromadka z proboszczem na czele i nauczycielem pociągnęła doń, spiewając po drodze. A potem zjeżdżała i rodzina dziedzica.

Wybrano sobie gołe miejsce w boru, rozpoczęły się tany — mieli z sobą skrzypka wiejskiego i basistę. A potem różne nastąpiły igrzyska. Dziedzice uraczyli całe zebranie sowitym podwieczorkiem. A co więcej, każde dziecko jakiś otrzymało podarek: chłopcy koziki, piszczałki, guziki ładne, książeczki itp. — a dziewczęta paciorki, wstążki, książki i obrazki. Wieczorem wszytko znowu, spiewając różne pieśni, do domów wracało. W dniu takim ks. Kubalak zawsze

był wesoły i szczęśliwy — szczęśliwy radością niewinnych dziatek.

W dni świąteczne, po nieszporach, zbierał zwykle na godzinę starszyznę wioski do izby szkolnej i przeczytał im co pouczającego lub ciekawego z gazet niekiedy — albo też z dzienników i książek.

Rozdawał im nawet i do domów różne książki i pisma, a pomiędzy temi był zawsze i Dzwonek. Gdy przeczytali, to odnieśli z podziękowaniem, i znowu coś innego dostali.

Było właśnie potrzeba ogrodzenia kościelnego cmentarza. Proboszcz wezwał gospodarzy do siebie i rzecz im przedłożył, a dodał też i nauczyciel uwagi swoje. Chłopi wszelako jakoś na ten koszt zgodzić się nie chcieli. Ks. proboszcz znowu od serca do nich przemówił. Ale kręcili głowami i na złe czasy narzekali — jak to zwykle bywa. Już nawet i rozejść się chcieli, gdy ot, naraz jeden ozwał się Bartek Czajka, milczący dotąd ciągle, pogładziwszy szeroką dłonią najeżoną czupryne.

— Ej kumowie! a pamiętacie wy ową przypowiastkę w Dzwonku, cośmy ją to łońskiego czytali lata?

— Nie baczę.

— Ani wiem.

— Ktoby tam pamiętał — odmruknęło kilka głosów.

— Przecie o tej babie z prosięciem!...

— Co to w jednej wsi gospodarze radzili, że na reperacyę kościoła pieniędzy nie dadzą. A tu ot przyszła baba...

— Dyć pamiętamy — wymówił stary Marcin Jasiak — przyniosła prosiaka.

— A był to cały jej dobytek — dodał nauczyciel — prosiątko oddała, by je sprzedać, a grosz wdowi na reperacyę kościoła obrócić.

— A jakżeż Panu Bogu miłą była ta ofiara! — wyrzekł cnotliwy proboszcz.

— Otoż więc, kumowie — mówił znowu Czajka, wstrząsnąwszy głową i aż się wyprostował — to więc złóżmy wiele kto może, by i nas jaka baba z prosięciem nie zawstydziła.

— Iście mi się zdaje — zaśmiał się stary Marcin — że już słyszę kwik prosięcia w sieni.

— A może i gęganie — dorzucił wesoły parobczak Antoni Skiba — bo stara Sobkowa gotowa swojego przynieść gąsiora.

Poczęli się śmiać wszyscy i żartować — i na składkę przystali.

Paulina Wilkońska.

Rady i przestrogi gospodarskie i domowe.

O oborniku. Zamożność rolnika zależy w znacznej części od tego, ile ma obornika i jaki on jest, a najtańszym kosztem uzbierać go można.

Ile i jaki jest obornik, zależy w znacznej części od tego, jak się z nim gospodarz obchodzi.

Obornik marnuje i psuje się dwoma głównie sposobami:

1. Zmniejsza się i psuje paleniem.

2. Zmniejsza go się i psuje się on wypłukaniem.

Paleniu się obornika zapobiega się, gdy się każdą warstwę ułoży i ubije starannie tak, aby do niej powietrze jak najmniej dochodziło; gdy każdą warstwę posypie się gipsem, popiołem, a przynajmniej gliną, lub gdy się ją przykryje darniami. Dalej należy obornik utrzymywać w stanie wilgotnym i w tym celu polewać go gnojówką, a gdy tej niema, wodą. Nakoniec, nie należy obornika kłaść na wysokie kupy, ani mu dawać zbyt długo leżeć. Gdy w oborniku skruszała słoma, a on jest masłowatym, wtedy wielki czas wywozić go na pole. Wiadomo, że obornik koński nagle się grzeje i pali, należy go tedy mięszać z bydlęcym, świńskim; a jeśli go koniecznie rzucać osobno, tedy wypada go zlewać mocniej i częściej, niż inny. Należy też ochraniać, aby świnie obornika nie borykały.

Wypłukaniu obornika zapobiega się niedopuszczaniem, aby z dachów, ani zkądbądź do niego dochodziła woda.

Deszcz, który prosto na kupę gnoju spada, nic mu nie szkodzi, jeśli gnojówka nie odchodzi, ale przechowuje się w jamie, położonej tak, że ściek wilgoci do niej z kupy jest łatwy, a niepodobny zkądinąd. Jednakże mocz (uryna) bydląt

i gnojówka ze stajni wprost, jeśli to może być, powinna także do tej samej jamy spływać. Jeśli to nie może być, należy na mocz i na gnojówkę prosto ze stajni płynącą osobną jamę wykopać. Każda jama powinna być przykryta. Z jamy lub jam puszcza się rynewką gnojówka na kupę, aby ją po całej kupie rozprowadzić; należy do pierwszej rynewki poprzystawiać inne.

Gnojówka, która do polewania obornika zużyć się nie da, może być użytą z wielką korzyścią do wyrabiania kompostu, o którym później powiem, co należy.

Gospodarz, który nie zapobiega paleniu i wypłukiwaniu się obornika, jeśli ma teraz rocznego dochodu sto złotych, miałby pewnie dwieście, gdyby temu jak należy ciągle zapobiegał.

W kraju naszym marnotrawstwo obornika tak wielkie, że szkoda ztąd wynikająca miliony wynosi.

Przedmiot ten jest ważnym i jednym z najważniejszych dla rolnictwa, a złe obchodzenie się z obornikiem zanieczyszcza powietrze i wodę, i szkodzi również zdrowiu.

Złote ziarna.

Nad żywot piękna sława, nad sławę ostrożne
Sumienie, nad sumienie skończenie pobożne.

Co czynisz, czyń rozmyślnie, skora rada szkodzi,
Gdyż za nią jaka za panią sługa, żałość chodzi

Jak śnieg, chociaż pomału, bo i drobny leci
A przecie wielkie czyni zaspy i zamieci,
Tak z błędu błędy rosną z małych szeptów wieści,
Że się po wszystkim świecie odgłos ledwie zmieści.

Najpierwsze chrześcijańskiej miłości jest dzieło:
Tego drugiemu nie czyń, co tobie nie miło.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Kazimierz Okaz. — Z drukarni E. Winiarza